

**Z umiłowania zawodu.**

Druga godzina była kędys na zegarze. Promienie słoneczne, padające prostopadłe na chodniki i jezdnię ulicy Nowej-Swiętej Amelji, odbite przez jednolicie białe fasady domów, wytwarzały łańcuchy inspektowe gorąco.

Policjant, mierzący swe sto kroków na skrzyżowaniu alei Motte-Pisquet i nowej szosy, szukał daremnie odrobiny cienia pod daszkami bram i drzwi gmachów urzędowych.

Żywej duszy poza policjantem w odcinku. Wobec upałów letnich w całej pełni, ktokolwiek nie był zmuszony drzeć w dusznym biurze, spoczywał z pewnością u siebie na łożku, otomaniu, czy szelongu przy zamkniętych szczelnie oknach ze zsuniętymi sztorami, nużąc się w pocie, nie zdolny do żadnego ruchu, graniczącego z cierpieniem, skapiący słów nawet, przyprawiających o zniechęcenie.

Policjant, wyjmując od czasu do czasu zegarek, rzucał nań zmęczonym okiem, wzruszał niecierpliwymi ramionami i zdjąwszy kępi wycierał mokre czoło chustką w kraty, której ani jedna nitka chyba nie była sucha. Poczem zmartwiałem spojrzeniem gonili za pustymi omal tramwajami i tak-sówkami, mknącymi ku szkole wojskowej lub Sekwanie.

Odgłos oddalonych kroków na rozpalonym asfalcie wyrwał go z odrętwienia. — Poruszywszy się żywiej, patrzył ze zdumieniem na dwóch osobników mierzących szybkim krokiem chodnik od strony ulicy Świętej Dominiki.

Przedstawiciel władzy, przymrużywszy oczy, badał intruzów podejrzliwym spojrzeniem; mogli liczyć po lat pięćdziesiąt każdy, ubrania mieli wytarte i zniszczone. Szli zważowo, milcząc.

O jakie dwadzieścia mniej więcej metrów od punktu obserwacyjnego policjanta, grubszy osobnik dotknął ramienia towarzysza i zdawał się tłumaczyć mu, że przyszedł już do zamierzonego celu. Szczuplejszy spojrzał wstecz i naprzód jakgdyby sprawdzając długość przebytej przestrzeni i ruchem potwierdzającym skinął głową.

Wówczas, na oczach osłupiałego policjanta, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego obecność, złożywszy zdjęte kapelusze-meloniki i kurtki na uboczu, weszli w kamień zalkach do bramy jednej z kamienic, by wybiec z niej pośpiesznie za chwilę.

Stanąwszy pośrodku ulicy jęli kłaniać się na wszystkie strony niewidzialnej nigdzie publiczności, posyłając od uśmiechniętych ust pocałunki w stronę pozamykanych bram, drzwi i okien, poczem zwróciwszy się twarzami do siebie uściskali się za ręce serdecznie. Smutne ich i poważne oblicza dotychczas jaśniały przytem radością.

Wśląd za tem wdali się w dialog ze sobą, przerywając go głośniejszymi klaskami, które jeden drugiemu wymierzał w ramię.

Szczuplejszy wreszcie siadłszy okraciem na krzyż zgiętego w pół grubszego partnera, zaczął stroić pocieszne miny.

Policjant, zaintrygowany i niespokojny zarazem, opuściwszy swoje stanowisko ruszył ku nim powoli, śledząc z ciekawością istną grę akrobatycznych sztuk, skoków i koziołków niebezpiecznych, przerywanych wybuchami śmiechu i potopem błazeńskich dowcipów, conceptów i żartów.

O kilka metrów od sztukmistrzów zaledwie stójkowy wahał się czy ma zareagować w obawie jakiegoś niepoczytalnego kroku ze strony tych dwóch szalonych maniaków. Zakaszłał wreszcie, chcąc zwrócić uwagę ich na siebie. Grubszy mężczyzna spojrzawszy nań przyjacielsko produkował się dalej. Nagle, niesporokowany bynajmniej, kopnął swego partnera z całej siły, a gdy ten odwrócił się wściekły prawdopodobnie, wymierzył mu głośny policzek. Obity bolesnym gestem podniósł rękę do twarzy i byłoby się dwaj zapaśnicy wzięli za tby chyba, gdyby policjant nie wkroczył między nich.

Posłuszny bowiem obowiązkom swemu jedynie, przedstawiciel porządku publicznego, pomacałszy rewolwer w kieszeni z odsuniętym kępi na tył głowy ruszył energicznie ku zawadziakom i, głosem uprzęymym, wymawiając wadliwie „r“, jak na południowca przystało, zapytał:

— Hej, moi panowie. Co to wyprawiacie na ulicy? Sałę zeń robicie gimnastyczną, czy pole bitwy?

Zainterpelowani zneruchomieli i obity, zamiast, ku zdumieniu policjanta zwrócić się doń o pomoc, odezwał się żałosnym głosem o wyraźnym angielskim akcencie:

— Ależ... panie policjancie... ja nie robię nic złego nikomu!...

— Naturalnie, że nie. — wtracił jego towarzysz śmiejąc się dobroduszenie — te!... ciebie boleć... nie mnie!...

Na to tamten, uderzając się w piersi: — O! Nie szkodzi! Nie szkodzi!... „Gra“ wymagać tego...

— Pan policjant pozwolić nam... grać dalej... — prosił grubas, odsuwając stójkowego.

I nie czekając odpowiedzi, pchnął pięścią z całych sił w brzuch swego potulnego partnera, aż ten jęknął, nie przestając uśmiechać się.

Policjant wówczas, uważając, że miara przebrana, chwyciwszy energicznie napastu jącego za ramię, zawołał:

— Chodźmy do posterunku!... Widzicie go... rozbójnika!

— Puść mnie!... bandyta!... demon! — darł się rzekomym rozbójnikiem, usiłując uwolnić się przy pomocy swego towarzysza z żelaznego uścisku ręki policjanta.

Nic nie wskórali jednakże; policjant trzymał krzepko swą ofiarę w kufaku, ciągnąc za sobą mimo silnego oporu, pozwalwszy wprzód włożyć kurtki i kapelusze obu osobnikom.

Niebawem stanął też w komisariacie, trzymając delikwenta w garści, podczas gdy

jego ofiara zmieszana i stropiona szła trop w trop za nimi.

— Panie naczelniku — meldował swej władzy — ci dwaj bili się na szosie... Pewnie upał odebrał im rozum... Tak myślę, że zlać ich zimną wodą — najlepsza sprawa!

Sekretarz komisariatu otworzył z trudem senne oczy, ściągnął nogi z biurka i zebrałszy rozprzeczłe myśli, stęknął:

— Nigdy spokoju, do diabła! No! Nazwiśka! Imiona! Zajęcie! Stan! Gadać mi, a żywo!

Na razie dwaj badani zaczęli mówić jednocześnie, za chwilę jednak szczuplejszy przerwał swemu kompanowi:

— Ja — zwrócił się do zastępcy komisarza — wytłumacz, panie sędzio. Ja lepiej mówić po francusku. My bo Anglicy — on i ja: Dan Smith i Joe Stern. Ludzie nazywać nas „Joe & Coucou“.

— Cóż to znowu za bajka?

— Ach, nie bajka! Pan sędzia zaraz zroziecie... Pan policjant zabrać nas do komisariatu z tego miejsca, gdzie był Cyrk Lutecijski zeszłego roku...

— Istotnie — bąknął policjant.

— Aha! Pan policjant rozumieć już trochę. Joe i ja być: kłownami w tym cyrku. Taaak!... Kiedy magistrat kazać zburzyć i przebudować ulicę... my: Joe i ja... zostać bez posady...

Głos opowiadającego zalał się.

— Dziś, panie sędzio — ciągnął dalej, rozkładając ręce — cyrki już niepotrzebne... Dzieci mieć automobile... T. S. F., kino gadające... Taaak!... My bawić kiedyś ojców... ale nudzić teraz synków... Więc... panie sędzio... dla kawałka chleba... Joe sprzedawać mydło do golenia, a ja sznurowadła do bucików. Ja przysięgać, że prawda... oto nasze papiery.

Mówiąc to, rozłożył na komisarskim stole stare, na rogach wytarte świadectwa cyrkowe, brudne dowody osobiste i żółte fotografie.

— Ale my nie potrafisz zapomnieć o naszym zawodzie — opowiadał jeszcze były kłown, podczas gdy zastępca komisarza przeglądał ze wzruszeniem dokumenty — bo my lubić go... A że dziś rocznica ostatniego naszego przedstawienia, więc ja z rana powiedzieć do Joe:

— Pójść tam!

On rozumieć mnie i my pójść, jak wy mówić we Francji „na pielgrzymkę“ i robić nasze kochane sztuki, a pan policjant myśleć, że my brać się za tby... Ja... z moim starym Joe!... My nie być źli ludzie, panie sędzio, my tylko kochać nasz zawód!...

— Idźcie z Bogiem, przyjaciele — odparł sekretarz na to i poklepałszy dwóch nieboraków po ramieniu otworzył im drzwi prowadzące na ulicę.

Błążni, skłoniwszy się z wdzięcznym uśmiechem, wyszli i znikli niebawem z ulicy opromienionej przez chwilę poezją wspomnienia umiłowanego zawodu.

Thum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 9 marca 1930 roku.

Nr. 10.

**Pożegnanie karnawału.**

W dniu 3 marca r. b. wytworna Łódź zegnana owacyjnie kończący się karnawał — okres beztrudnych zabaw tegonocnych na wielkiej Reducie Prasy w salonach Filharmonji. Na żywo przemawiających zdjęciach widzimy w otoczeniu dam dworu, u dołu zaś od strony prawej królową balu p. Zofję Radziejewską, na tynnych wreszcie poszczególne fragmenty Reduty Prasy.

Fot. Meyer. Tel. 108-81



TEATRALJA.

„Melodramat”. — „Wesela Sandomierskie”.  
— Nowa komedia B. Shawa. — Drobiazgi  
z za kulis.

Głośną sztukę z repertuaru teatrów pa-  
ryskich wystawił warszawski Teatr Pol-  
ski: mówimy o „Melodramacie” — Henry-  
ka Bernsteina, sztuce w 11 obrazach, któ-  
ra jest jakby ironiczną nieco demonstracją  
stałości gustów teatralnego widza, przekła-  
dającego ponad wszystko inne „wzruszają-  
ce” historie sceniczne, zarówno teraz, jak  
przed wielu laty. Bernstein jest, jak wia-  
domo, prawdziwym mistrzem techniki te-  
atralnej, to też zbudował swą sztukę we-  
dług klasycznych reguł starego teatru, da-  
jąc jej przytem bogaty podkład... muzyczny.  
— co pozostaje zresztą w zgodzie z tytu-  
łem. Nietylko dwaj bohaterzy „Melodra-  
matu” są muzykami — jeden wirtuozem,  
drugim nauczycielem — ale i niektóre z obra-  
zów sztuki zaczynają się i kończą muzyką,  
nadającą perypetjom akcji melodię przepły-  
wających przez dusze bohaterów uczuć i  
wzruszeń.

Podstawą „Melodramatu” Bernsteina jest  
oczywiście trójka miłosny: Piotr — jego  
żona, Joanna — jej kochanek, Andrzej. —  
Przeżycia tych trojga są dość zawile i —  
niespodziewane. Joanna ucieka od męża do  
kochanka, ale, widząc, że Piotr nie potrafi  
żyć bez niej, truje go, zresztą nie śmiertel-  
nie. Potem — powrót do męża od kochan-  
ka, który chce sprawę wyjaśnić uczciwie i  
ostatecznie; mąż odtrąca Joannę; Joanna  
popelnia samobójstwo. a w przedzgonnym  
wście, w sposób niezmiernie interesujący i  
nieoczekiwanie głęboki, tłumaczy pobudki i  
motywy swych czynów; Piotr po raz drugi  
żeni się, z kochającą go szczerze Krystyną  
choć pamięć i serce pełne ma wciąż — Jo-  
anny. Oto suchy szkic „Melodramatu”, na  
którym osnuł autor „Złodzieja” szereg e-  
fektownych scen, zasobnych w dialog po-  
chlaniający uwagę widza i stanowiący do-  
wód dużej kultury pisarskiej Bernsteina.

Szerokie pole do popisu w „Melodrama-  
cie” znalazła trójka tak świetnych aktorów,  
jak pp. Przybylko - Potocka, Junosza - Ste-  
powski i Leszczyński.

Po sukcesach „Wesela na Kurpiach”,  
które swój wesoły pochod przez miasta  
polskie zakończyło na wystawie poznań-  
skiej, objazdowy teatr regionalny, pod dy-  
rkcją p. Skarżyńskiego, wystawił w War-  
szawie, po dłuższych a sumiennych przygo-  
towaniach, „Wesele Sandomierskie”. Jest  
to, równie jak poprzednio wymienione, ży-  
we i barwne widowisko regionalistyczne,  
oparte na autentycznym materiale ludo-  
wym, ilustrującym obyczaje weselne san-  
domierzan. Widowisko to składa się z  
trzech części: „Różgowiny”, „Rozpleciny”  
i „Oczepiny”, skomponowane jest, jak stwier-  
dza krytyka stołeczna, prosto i udanie, a  
swojskość i świeżość tych pięknych ludo-  
wych obrazów zapewniają oryginalnej ca-  
łości zupełne powodzenie. Należy przypu-  
ścić, że w swem tournée z „Weselem San-  
domierskim” dyr. Skarżyński nie zapomni  
też o Łodzi, gdzie znajdzie się spora garść  
miłośników tak starannie inscenizowanego  
folkloru. Bardzo słusznie pisze z okazji

wystawienia „Wesela Sandomierskiego” je-  
den z krytyków warszawskich: „W zakre-  
sie sztuki regionalizm stanowi jeden ze śród-  
ków nie do zastąpienia. Studjowanie go na-  
leży do prac laboratoryjnych, a szersze za-  
poznawanie z nim społeczeństwa ma zna-  
czenie pedagogiczne. To nie są prawdy i  
prawa ściśle, które w ten sposób poznaje-  
my, tylko okazywanie procesu twórczego  
psychiki rasowej i plemiennej. Ponieważ z  
niej czerpiemy swój rodowód, powinniśmy  
ją znać i wciąż poznawać, wmyślać się i  
wczuwać w nią — ona jest naszym funda-  
mentem”.

Niezwykle interesującą premierę zapo-  
owiedział na czas najbliższy Teatr Mały,  
mianowicie nieznaną hodaż dotąd w Polsce  
komedię Bernarda Shawa p. t. „Związek  
niedobry”. Sztuka ta rozgrywa się w  
rezydencji wiejskiej wzbogaconego mieszczu-  
cha angielskiego, a punktem wyjścia akcji  
jest upadek na dach tejże rezydencji... sa-  
molotu z tajemniczą a piękną pasażerką. —  
Komedię Shawa reżyseruje dyr. Szyfman,  
zaś w głównych jej rolach wystąpią pp. Mo-  
dзелеwska i Romanówna, pp. Daczyński,  
Stanisławski i Samborski.

Nielada ucztę artystyczną miała nieda-  
wno Bydgoszcz, dzięki występom gości-  
ni.

nym Ludwika Solskiego, który zaprezen-  
tował w otoczeniu miejscowego zespołu te-  
atralnego dwie znakomite swoje kreacje,  
mianowicie, Pana Jowialskiego i Fryderyka  
Wielkiego. Nie trzeba dodawać, że wy-  
stępy te cieszyły się ogromnym powodze-  
niem, a mistrza Solskiego witano z wyjąt-  
kowym entuzjazmem.

Jeden z literatów francuskich, interesu-  
jących się żywiej sprawami historii teatru,  
p. Georges Doutrepoint zajął się ostatnio roz-  
strzygnięciem wątpliwości, czy Molier w po-  
czątkach swej kariery aktorskiej występował  
w masce. Przypuszczenie to nasuwa  
się ze względu na znany fakt, że jeszcze  
na początku 18 w. grywano w niektórych  
teatrach w maskach, na podobieństwo akto-  
rów starożytności. Opierając się na świa-  
dectwach współczesnych Molierowi pisarzy,  
p. Doutrepoint skłania się do poglądu, że  
Molier niejednokrotnie kładł na twarz ma-  
skę przy występach na scenie. Jak twierdzi  
inicjator tych dość żmudnych dociekań, za  
przypuszczeniem powyższym przemawia  
również i ta znamienita okoliczność, że na-  
wet imię Mascarille'a, którą to rolę grywał  
Molier, znaczy po hiszpańsku „maska”.

Delta.



Mary Brian, młodociana, włośniana gwiazda ekranu amerykańskiego.



Na pożegnanie karnawału Akademicka Korporacja „Victoria”  
urządziła bal, z której fragment widzimy powyżej.



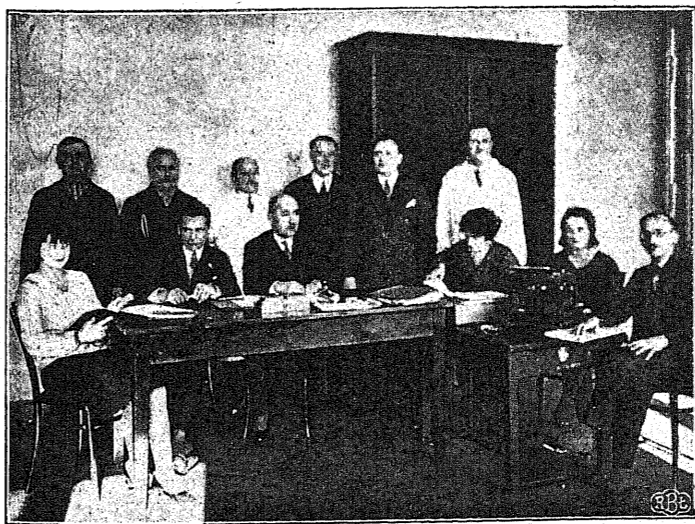
Zabawa szkolna uczniów i uczniów państwowych szkół za-  
wodowych.



Rozbarwiona grupa uczestników zabawy, urządzonej przez Ko-  
ło Kulturalno-Oświatowe przy Zborze Ewang.-Reformow. w  
Łodzi.



Wycieczka uczniów szkoły zawodowej dokształcającej Nr. 7,  
grupa graficzna z prof. M. Orłowem po zapoznaniu się z za-  
kładami drukarskimi i halami maszyn w „Kurjerze Łódzkim  
i „Echu”.



Oddział sanitarny Wydziału Zdrowotności Publicznej w nowej siedzibie przy ul. Narutowicza 65, po przemieszczeniu z Pla-  
cu Wolności.





# 3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”  
dla naszych milusińskich

p a.

## „TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcje fotografii zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20.

Gdyby, fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

**Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.**

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ, wycinając odpowiadający kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przeznacza dla dzieci na które padnie więcej głosów:

**I** Kompletnie ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.

**II** Rower dziecielny, względnie kolczyki złote oraz żeton srebrny.

**III** „Niezdobytą forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.

**IV** „Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.

**V** 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.



Godło „Dusieńka”.



Godło „Peczek I”.



Godło „Hemus”.



Godło „Miss Polonia”.



Godło „Muzyk”.



Godło „Nasza siewulka”.



Godło „Danika”.



Godło „Bomba śmiechu”.



Godło „Bak”.



Godło „Strażak”.



Godło „Ukrainka”.



Godło „Poccha”.



Godło „Kozaczek”.



Godło „Jurak Chrobry”.



Godło „Olesia sierotka”.



Godło „Wiochna II”.



Godło „Landa”.



Godło „Niania”.



Godło „Modraczek”.



Godło „Najmłodszy radjota”.

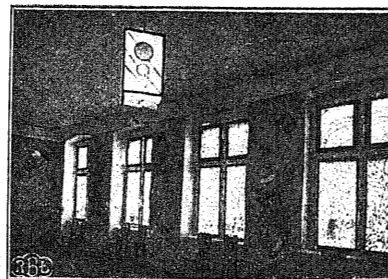




W dniu 2 marca roku bież. Towarzystwo Śpiewacze „Dźwięk”, istniejące przy kościele św. Wojciecha w Chojnach, święciło podniosłą uroczystość. W dniu tym odbyło się poświęcenie nowoufundowanego sztandaru. Aktu poświęcenia dokonał proboszcz parafii św. Wojciecha, ks. kantonik Feliks Kąkolewski. Na zdjęciu uczestnicy uroczystości na stopniach kościoła św. Wojciecha.



„Samopomoc szkolna” gimnazjum żeńskiego J. Prysewiczówny w Łodzi urządziła w tygodniu ubiegłym zabawę p. n. „Wesołe Ostatki”. Na zdjęciu uczennice i uczniowie z komitetem rodzicielskim i gronem nauczycieli na czele.



Sala rekreacyjna gimnazjum J. Prysewiczówny, ozdobiona dekoracjami i witrażami, wykonanymi przez uczennice.



Sprawozdawcy pism kółdzkich na posiedzeniu Rady Miejskiej w Łodzi.



Sammy Cohen, niezrównany Hipek ekranu w filmie p. n. „Hipek i Łopek się żenią”.



Joan Crawford, piękna i sympatyczna artystka filmowa, gra w obrazach wyciwni „Metro”



Dela Lipińska w pierwszym polskim filmie dźwiękowym p. n. „Moralność pani Dulskiej”.



Fragment nowego filmu Mary Phyllbin p. t. „Pomiar marzeń”.



Norman Kerry jako kapitanuczniaków w filmie „Dzwonnik z Notre - Dame”.



Scena z zawodów cowbojskich w filmie „Student z Mondany” z Hoot Gibsonem.



Mistrz maszyn, Lon Chaney, jako Quasimodo, w filmie „Dzwonnik z Notre - Dame”.



**Jego sekret.**

Chwała ci, Panie Boże! Sprawa zakonczona wreszcie! Mniejsza o terror, szalejący po miastach! Mniejsza o masowe morderstwa i dekrety pana de Robespierre'a! Niech tam gilotynują wszystkich królów... i księży! Blaise Queroud podniósł należną mu sumę — spadek po krewniaku — i kwita! Z rąk funkcjonariusza republiki, zastępującego rejeanta, otrzymał swoje pistole (złota moneta) dobrej, należytej wagi, z warunkiem nieboszczyka monarchy na odwrotnej stronie.

Zniósł poprawda niejedyn docinek przysięgi: proponowano mu naprzykład aby dowiódł, że jest dobrym obywatelem, przekazując cały spadek lub część jego przynajmniej na obronę ojczyzny!... Takie bzdury, moiściewy!...

Owego wieczora właśnie, Blaise Queroud, mając już swoje śliczne błyszczące monety w pewnym, dowcipnie pomyślanym schowku, święcił po swojemu, sam w swej rudery, uroczysty dzień. Przez okienko zaglądało doń niebo z wędrującymi po nim obłoczkami barwy sadzy i biała tarcza księżycy, którego zimne i nieśmiałe światło spływało na ziemię. Wielka równina Beauce tchnęła beznadziejnym smutkiem na mile i mile wokoło. Wszystko, co żyło, porażone było w uspieniu.

Nagle i niewiedzieć gdzie, pies warknął. Blaise Queroud nadstawił ucha i zdało mu się, jakgdyby słyszał tętent kopyt końskich na szosie.

Niebawem inny pies szczeknął. Trucht koni wyraźniej doszedł do słuchu starca.

Niewytłumaczona trwoga ścisnęła mu serce... W mieście opowiadano sobie takie straszne rzeczy po cichu!... Wylęczano szereg zbrodniczych napaści!... A wszak niejedyn wiedział, że farmer Blaise Queroud zgarnął sporo grosza do kieszeni! Oddano mu pieniądze w obecności niższych urzędników, których oczy błyszczały chciwie!...

O pięćdziesiąt kroków od jego chaty kilku jeźdźców zatrzymało się. Jakieś niewyraźne słowa padły i niebawem przybyli zsiadłszy z koni, podeszli do rudery.

Blaise Queroud cofnął się w głąb izby, drżącymi rękoma wśród narzędzi rolniczych szukając środka obrony.

Z zewnątrz tymczasem uderzono pięścią w drzwi.

— Hej tam! Hej, dziadziu! — rozległ się głos, któremu zawtórował stłumiony śmiech kilku gardzleli.

Queroud nie ruszył się z miejsca.

— Otwórz przyjacielom, kochanku! — odezwano się znowu, waląc w drzwi powtórnie.

Wieśniak spojrzawszy raptem na palącą się świecę, której blask zdradzał jego obecność, zgasił ją machinalnie.

Zasmiano się głośniejsz na dworze, przy-

czem ten sam głos zawołał niecierpliwie:

— Te!... Otworzysz, czy nie, gołabku?

Blaise Queroud skurczył się, skulił w sobie, jakgdyby usiłując zlać się w jedno z otaczającą go ciemnością.

— Do roboty! — zabrzmiał wówczas rozkaz.

— Ha! Psiawiara! Wywalić mu drzwi!

Wnet kilkoro pięści zadudniło w deski, aż wyszły z zawias i z loskotem piorunu, opadły na podłogę chaty. Zgraja wpadła do izby. Jeden z napastników potrząsał pochodnią ze smoly i żywicy. W jej świetle dojrzano nieszczęśliwego farmera, wciśniętego w kąt, przy skrzyżni.

Wyciągnawszy go na środek wyrwano mu motykę z dłoni i pchnięto kłutkami do stołu, gdzie umieszczono improwizowany świecznik:

Kilku bandytów zabralo się już do przeszukiwania izby, wysypując ziarno z worków, wywracając i tłukąc gąsiory oraz fajansowe garnki, gdzie wieśniacy chowają niekiedy ludwki pod warstwą masła. — Dwóch natomiast stało przed ojcem Blaise, zasypując go pytaniami. Ale stary wieśniak nie rozumiał ich, wpatrując się w odrętwieniu w brudne, napiętnowane okrucieństwem oblicza swych siepaczy. Jeden szczególnie, młodzieniaszek o mały, którego strój uwydatniał drobne, iście kobiece kształty, przykuł jego uwagę.

— Będziesz gadał? — pytało raz po raz nienaturalnie grubym głosem, to indywiduum, robiące wrażenie przebranej po męsku kobiety.

— Czego... chcecie... ode mnie? — wyjąkał Queroud.

— Twoich pistoli, dziadziu! Gdzieś je zakopał?

— Ja... Ja!... Nie mam nic!... Biedny... jestem!...

— Słyszycie go... ptaszka? A spadek? Za kogo nas masz, bydło? Dalej! Mów!... albo!...

Blaise Queroud, milcząc, utkwiał wzrok w indagującego. Niezłomna wola skąpca, drżącego o swój skarb, wzięła górę nad strachem przed bandytami.

Rewidujący izbę, stanęli tymczasem z pustymi rękoma przed szefem szejki, który wzruszając ramionami, odezwał się:

— Ha! Trudno! Sam chce tego! — Widzicie go, sknerę!... — naigrawał się z szyderczym śmiechem młodociany opryszek, wskazując gasnące zarzewie. — Niema dość ognia nawet, byśmy mogli „ogrząć“ go! Hej tam, chłopcy! Niech płomień buchnie!

Krzesła połamane paliło się niebawem na kominie.

— Tu go dajcie! Rozzuć chłopysia! — Wnet zdarto sandały i pończochy z nóg staro-

— He! He! — zaśmiał się zbior, obnażając wieśniaka — piszczele suche, jak wąsinorośli!

— Ostatni raz! Oddasz pistole? A no, przyrzecicie go, skoro milczy!

Rozpoczęły się straszne tortury. Czując płomień, liżący mu skórę i wżerający się w ciało, Blaise Queroud przez zaciśnięte zęby jęczał głucho. Nachylił nad nim czarci w ludzkiej postaci czatowali na chwilę, kiedy ból zatriumfuje nad skapstwem.

Okropna woń palącego się rogu rozeszła się po izbie. Ciało wieśniaka złane było obfitym potem. Oczy, białkami wywrócone do góry, rozwarły się szeroko. Ale usta hermetycznie zamknięte nie chciały wydać sekretu.

— Scyzoryk! — podszepnął wówczas najmłodszy złoczyńca swym quasi-miękkim głosem.

Nadcięto więc opalone i nabrzmiałe nogi katowanego, który dyszał ciężko podczas gdy różowa piana sączyła mu się z kąćków ust. Zbroczone krwią rany wystawiono znów na ogień. Queroud, ryknawszy jak zarzynany wół, z madludzką siłą wyrwał się z rąk oprawców i padł w konwulsjach bólu na ziemię.

— Powiesz? — pytał herszt bandycki.

— Ta... a... a... k!... Ta,, a,, a,, k! — wybelkotał stary, głosem, przerywanym czkawką.

— Gdzie są pieniądze?

Blaise Queroud wytrzeszczył na pytającego obłąkany wzrok, a wargi jego drgnęły.

— Gadajże! Gdzie?

Stary milczał, z zięciami przerażeniem żrenicami, nie mógł bowiem przymyślić sobie miejsca, gdzie schował pieniądze. — Wściekły ból, piekielne katusze, którym pod dano jego ciało, zmąciły mu umysł i padły na mózg, odbierając pamięć. Choć teraz wydać swój sekret, wskazać schowek, w którym ukrył swój skarb, byłoby tylko przestał go męczyć, zostawił w spokoju... ale nie wiedział gdzie!!

— Kpisz sobie z nas, lotrze?

— Nie... Litości!...

— Mów, gdzie są pieniądze?

— Gdzie?... Gdzie?... Gdzie?... — pytał on z kole, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po kątach izby.

Wystawiwszy jeszcze raz nogi wyjącego wieśniaka na pastwę ognia, opryszkowie, widząc, że nic nie wskórają — po powtórnym splondrowaniu mieszkania, zabrali się do odwrotu, przyczem młody bandyta, o wyglądzie kobiecym, nachyliwszy się nad skatowanym starcem, wymierzył mu swoją drobną ręką policzek.

Niebawem galop koński ucichł w milczeniu nocy.

Blaise Queroud umarł nad ranem dopiero. Nim skonał jednak, włożył się nas wychłkotach po wszystkich zakamarkach izby gorliwiej od swych siepaczy szukając swoich pistoli!

Ale daremnie!

Thun. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 16 marca 1930 roku.

Nr. 11.

## Inauguracja sezonu sportowego.



W ubiegłym tygodniu nastąpiło otwarcie sezonu sportowego w Łodzi, który wzorem zagranicy rozpoczął się w roku bież. znacznie wcześniej. Z tej okazji odbyło się wiele imprez sportowych, jak zawody szermiercze o mistrzostwo D.O.K. IV i zawody piłkarskie. Na zdjęciach widzimy fragmenty z zawodów piłkarskich: L. T. S. G. — Legia i zawodów szermierczych. U góry na lewo młody mistrz szermierczy D.O.K. IV, por. Z. Gajewski, 37 p. p., na prawo mistrz grupy podoficerskiej st. sierż. Rudnicki, 31 p. S. K. i zeszlonożony mistrz D.O.K. IV, por. Kuźnicki. Po bokach i w środku elita szermierzy i przedstawiciele władz wojskowych z p. gen. Małachowskim na czele. U dołu fragmenty z meczów oraz zespół drużyny L. T. S. G.

Fot. Meyer. Tel. 108-81.